

Gdybym był Eskimosem...

z Wojciechem Bąkowskim
rozmawia Marek Wasilewski

Wojciech Bąkowski
[s. 100]

Wojciech Bąkowski i Dawid Szczęsny
[s. 105]
fot.: Kamil Strudziński



Nie lubię pouczania,
z tego powodu
zniechęciłem się
do środowiska
anarcholewicowego...

KOT zdechł?

KOT nie zdechł, cały czas gra, ale jest w pewnym sensie projektem zamkniętym, rzeczą w walizce. Można powiedzieć: KOT do wynajęcia. Ostatnio KOT koncertował na otwarciu wystawy „Early Years” w Kunstwerke w Berlinie. Istnieje, ale nienawidzi Niwei, bo to jest projekt skierowany zupełnie do kogo innego, ale siłą rzeczy ludzie zawsze będą patrzyli na Niweę przez pryzmat tego, co robiliśmy z KOTEM. Chłopcy mają taki punkt widzenia i wcale się im nie dziwię.

KOT nie będzie robił nowych rzeczy?

KOT już od dłuższego czasu nie robi nowych rzeczy, ma bardzo bogaty repertuar, zrobiłem tych piosenek bardzo dużo. Istnieje materiał na 3 długogrające płyty. To nie jest wydane, gdyby to zebrać, to jest tego aż za dużo. W pewnym momencie to mi się znudziło.

Na każdy koncert staram się jednak zawsze przygotować coś, czego jeszcze nie było. Wciąż mamy dużo starych numerów, których nigdy wcześniej nie zagraliśmy na żywo.

Skąd te nazwy: KOT, Niwea?

Z abstrakcyjnego postrzegania słów. Gdy pierwszy raz spotkałem Dawida Szczęsnego, zacytował jeden z moich tekstów. Mewa – Niwea, powiedział. I dodał: Podoba mi się ten patent. Później, gdy już zakładaliśmy zespół, nie musieliśmy długo szukać nazwy. „KOT” to też dobre słowo. Ma dużą siłę oddziaływania poza

znaczeniem. To tak jak ze znaczeniem tatuaży. Ktoś należy do jakiegoś albo po prostu ma na łapie palmę i nie dba o symbolikę.

W KOCIE wszystko robięś sam, byłeś autorem tekstów i partytur, a koledzy byli narzędziami w Twoim ręku.

Tak, ale to są specyficzne narzędzia, mają bardzo duży wpływ na końcowy efekt, pewne rzeczy odrzucają, pewne sugerują. Bardzo dużą rolę w tym projekcie odegrał Konrad Smoleński, który na pewne rzeczy nie pozwalał, a z drugiej strony, wprowadził dużo luzu, KOT bez niego byłby sztywniejszy. Z Bosackim i Saneckim posługujemy się specjalnym, wewnętrznym językiem. Gdy się nasłucham tego, co oni gadają, jestem nastrojony do pisania. Ostatecznie są rzeczywiście wykonawcami. Z Dawidem Szczęsnym i Niweą jest trochę inaczej. Wysyłam mu swoje kompozycje, on zaczyna je przetwarzać – czasami do tego stopnia, że są już dla mnie nierozpoznawalne. Potem jeszcze się spotykamy, zmieniamy to razem i wychodzi wspólna rzecz. Te spotkania są najważniejsze. Dopiero wtedy znajdujemy właściwe rozwiązania. Powstaje wypadkowa, a nie zlepek dwóch rzeczy. Kika utworów z płyty stworzyliśmy wspólnie, na przykład „Senna wełnę” i „Portret z kabli”.

Ty też jesteś twórcą muzyki?

Tak. Większość z tych piosenek napisałem wcześniej. Ścieżki muzyczne robiłem na dziecięcym keyboardzie. Dawid Szczęsny to przesłuchał i zaczął aranżować po swojemu. Czasami ingerował tak bardzo, jakby wymieniał cały silnik w samochodzie. W niektórych przypadkach sytuacja się odwracała. Dawid przysyłał mi muzykę, a ja dogrywałem swoje partie na keyboardzie i pisałem tekst. Na koniec robiliśmy wspólne sesje dla ogarnięcia całości. Ostatecznie muzyka jest wspólna, słowa moje, a aranżacja i produkcja – Dawida.

+

Niektórzy się śmieją, że są to piosenki do radia.

W radiu się tego boją i to jest właśnie coś, co mnie pociesza w tym wszystkim. To, co mi się wydaje krokiem w kierunku popu, zwiększenia grona odbiorców, cały czas widziane jest z drugiej strony jako produkt trudny do ogarnięcia.

Osobicie też nie uważam, żeby to był ukłon w stronę tak zwanej szerokiej publiczności... Choć oczywiście jest to bardziej muzyczne i mniej performerskie.

O właśnie, ale to jest dalej ten sam klimat, to co śpiewasz, jak to śpiewasz albo recytujesz – to treść powoduje, że nie jest to taka piosenka, którą w radiu bardzo chcieliby puścić, a jednak Trójka puszcza często! Na szczęście!

Jest jakiś przebój na tej płycie?

Jest: „Miły młody człowiek”. To jest utwór prawie taneczny, poza tym jest „Kłata piersiowa”, który się sprawdza, wchodzi ludziom do głowy. Mam taką nadzieję, że Niwea znajdzie swoją przestrzeń.

Tak, w „Klacie” śpiewasz: pachnie trawa kupą... To może wejść do głowy.

Napisałem to, gdy mieszkałem w piwnicy bloku na Winogradach. Nielegalnie. To był ciężki okres. Dawid zmodyfikował kompozycję tak, że bije z niej jeszcze większy smutek. Usunął ślady groteski, obecnej w wersji pierwotnej. To dobrze.

Teledysk „Miłego młodego człowieka” jest niesłychanie wygadany w porównaniu z Twoimi wcześniejszymi produkcjami. Choć z drugiej strony, jest skrajnie nudny jak na standard telewizyjny.

O to właśnie mi chodziło. Chciałem, przy profesjonalnej jakości, zastosować trudną do zniesienia surowość. Ten gatunek obrazu wideo nazywam antyteledyskiem. „Piękno” KOTA jest jeszcze nudniejsze. Trwa 35 minut i jest

tylko moja twarz. Nawet nie mrugam oczami. W „Miłym młodym człowieku” zresztą też. Przyjrzyj się.

Jak doszło do Twojej współpracy z Dawidem Szczęsnym?

Graliśmy razem na jednym koncercie. On solo, a ja z KOTEM. W samochodzie, po drodze do hotelu, zgadaliśmy się, że w latach 90. słuchaliśmy tego samego. Tych samych zespołów. A wiele z nich to nie były żadne tam hity. Potem zainteresowałem się bliżej muzyką Dawida. Chciałem sprawdzić, co robi ktoś inny, inspirowując się tym samym. Współpraca była naturalnym następstwem tego wszystkiego.

KOT funkcjonował na pograniczu sztuk wizualnych, koncertowaliście w galeriach. Niwea jest próbą przejścia na stronę muzyczną?

Tak, właśnie o to chodzi, mamy normalną trasę koncertową, występujemy w klubach w całej Polsce.

Ucieszyła mnie 6-gwiazdkowa recenzja w „Przekroju”. Oznacza to, że krytycy muzyczni odnieśli się do płyty pozytywnie, Skolimowski z „Machiny” też... Nie ma głędzenia o performansie, o artystach, o audioarcie... Dawid w świecie muzycznym funkcjonuje już długo. Wydał kilka solowych albumów w dobrych wytwórniach. Dla mnie, mimo działań z KOTEM i Czykitą, to jest nowa rzecz. Przychość z innego świata.

Ty sam jesteś jednak rozkraczony między tymi dwoma światami. Jest to dla Ciebie problem?

Nie, ja się z tego cieszę. Widziałem wystawę, którą Michał Woliński zrobił w Rotterdamie. Odtworzona została praca Neue Bieriemiennost z cesarzem Bokassą. Zobaczyłem rzeźby z lat 80., do których włączona jest muzyka na magnetofonach czy gramofonach, Robakowski pokazywał teledyski... Stwierdziłem, że jest mi to bliskie, bo ja też nie lubię, kiedy

sztuka jest taką „sztuką”. Lubię, kiedy artyści robią teledyski, kiedy piszą teksty, nagle wywijają coś, co jest na pograniczu, ale dopóki to ma swój ciężar, to jest nazywane sztuką. To ciężar, a nie dyscyplina decyduje, czy coś możemy nazwać sztuką. Teledysk może być tak dziwny, że nie puści ci tego żadna stacja telewizyjna, w związku z czym galeria staje się jedynym domem dla takiego produktu.

Tylko ciężar czy lekkość też?

Albo lekkość nieznośna! Lekkość może być potwornym ciężarem. Na wystawie Libery, którego programowo powinienem nie znosić, bo nienawidzę takiej twórczości, jednak podobają mi się niektóre rzeczy.

Pewnie te najbardziej szalone, z undergroundu w Łodzi?

Oczywiście to jest dla mnie do przyjęcia.

A co jest nie do przyjęcia w sztuce?

Nie lubię takiej sztuki na okładkę „ArtForum”. Nie lubię też pouczenia, z tego powodu zniechęciłem się do środowiska anarcholewicowego. Prawicowego nie trawię od zawsze.

Dziś nie mam właściwie żadnych poglądów politycznych. Miałem dawniej poglądy skrajnie lewicowe, ale w pewnym momencie zaczęło mnie drażnić pouczanie ludzi, drażni mnie wszystko, co próbuje sprzedać jakąś słuszną ideę i skrytykować inną, która jest niesłuszna. Ambivalencja działa na mnie silniej, bo jest bliższa prawdzie. Sztuka, która się za czymś opowiada, wydaje mi się wykastrowana. Ludzie piszą podania, żeby dostać pieniądze z Ministerstwa albo z Unii i dopasowują idee do tych programów. To dobija sztukę, bo na przykład nagrywa się rapowe płyty o historii Polski. A przekaz powinien być prawdziwy, trzeba szukać kogoś, kto ma coś do powiedzenia i nie zastanawia się, co z tym dalej będzie, dla kogo sztuka jest sposobem na życie.

To, co robisz, także można zinterpretować jako przekaz krytyczny i zaangażowany.

Społeczny też.

Beznadzieja blokowisk.

To jest niezgoda w połączeniu z nostalgią, ale tam nie ma zdecydowanego opowiedzenia się. To jest raczej opis, taplanie się w tym świecie. Nie ma propozycji. To jest absolutnie niekonstruktywne.

Klimat jest mroczny.

No jasne! To jest opis!

To jest także cytata. Wiele Twoich tekstów to – zdaje się – skrawki podsłuchanych gdzieś rozmów.

Tak. Mam takie notesy, w których spisuję dobre kawałki.

Kiedyś byłeś nauczycielem w gimnazjum i to miało wpływ na Twoje teksty. Czy to, co teraz piszesz, jest inne?

Druga płyta Niwei będzie mocno inspirowana moim życiem obecnym.

Zastanawiałem się, jak długo można się stylizować na mieszkańca ponurego przedmieścia.

To nie jest stylizacja. Ja naprawdę jestem z poznańskiej sypialni, ale wiem, co masz na myśli. Niektóre teksty pochodzą jeszcze z 2007 roku, długo nie wiedziałem, co z nimi zrobić. Pojawiają się też nowe teksty: „Łaskoczące rzeczy” albo „Senna wełna”. Tam nie ma tak rozbudowanego pejzażu, one są bardzo minimalistyczne. Na kolejnej płycie pojawią się utwory, wobec których dziennikarze nie będą mieli takiej łatwości dopasowania formułek w stylu: „opisuje mrok blokowego życia”. Ja wiem, że sam jestem winien. Wydaje mi się, że gdybym był Eskimosem i rozpruwał fokę, to tworzyłbym podobną muzykę, a gdybym mieszkał na Teneryfie, to opisywałbym niemieckich turystów. Moja robota polega na specjalnym patrzeniu, a otoczenie nie ma aż takiego znaczenia, to +

Jest w Poznaniu coś wybitnie nieartystycznego...

znaczy jakieś tam ma, ale na pewno się je przecenia. Białoszewski się przeprowadził do bloków i blok był dla niego straszną opresją. On się starał przed tym bronić swoim pisaniem, ale w gruncie rzeczy jego twórczość pozostała taka sama, mimo zmiany środowiska.

Będziesz pisał o świecie sztuki, w którym ostatnio intensywnie funkcjonujesz?

Sam mi powiedziałaś, jakiej sztuki nie lubię! Nie lubię sztuki o sztuce. Nie lubię tego gładzenia o artyście, o jego roli, o tym, jak on się ma wobec świata sztuki. To mnie zwyczajnie nudzi. Podoba mi się jedynie wideo Oskara Dawickiego, tam Jan Nowicki mówi, że zaraz skończą się pieniądze na realizację filmu. W tym jest to, o czym mówiliśmy wcześniej, taka lekkość, taka pustka, że aż zaczyna to generować jakąś siłę.

Podobnie chyba jest z Twoimi rysunkami w „Gazecie Wyborczej”. Czytelnik widzi coś, co można nazwać nieudanym rysunkiem i nieudanym tekstem. Wszystko na dodatek jest niewyraźne i jakby niedokończone, a jednak to się drukuje, wiedząc, że wielu ludzi wzruszy ramionami i powie: to jakaś pomyłka.

Tak się robi. To jest określona strategia. To jest takie działanie skunksa. Od razu wiemy, że trzeba się wykazać szczególnie dobrą wolą, żeby w to wejść. To jest w sztuce dosyć często spotykane. To kwestia stylu. Ktoś staje tyłem do publiczności i może publiczność albo obrazić, albo zaciekawić: Co on tam gada? To jest takie gadanie w kącie. Sam jestem ciekaw, jaki jest odbiór tych rysunków. Podobno mnóstwo ludzi w ogóle tego nie rozumie.

A jak było z rysunkami do tekstów Piotra Bosackiego w książce „Traumtagebuch”?

Kuba Bąk powiedział, że jak wziął to do ręki, to bał się takiego megalomańskiego wyrzygu. No, bo powiedzmy sobie szczerze, nie ma nic gorszego niż opowiadanie swoich snów. Snami można zanudzić na śmierć. U Bosackiego na szczęście sny są tylko inspiracją. Dlatego ten materiał mnie zainteresował i poprosiłem Piotra, żeby to rozszerzył. On napisał tylko kilka stron, ja nalegałem, żeby pisał dalej. Tymczasem ja w nocy rysowałem w łóżku po ciemku. To często były też takie na wpół wyśnione rzeczy, po prostu majaki. Potem oczywiście modyfikowałem te rysunki, nakładałem nowe warstwy. To się wszystko dobrze powiązało i postanowiliśmy wydać. W starej galerii Foksal była niedawno prezentacja tej książki, będziemy ją też pokazywać we WRO Art Center. Piotrek na żywo czyta te sny, jest w tym naprawdę świetny i tyle.

Na ile dla Ciebie ważny jest Poznań jako miejsce, gdzie rodzą się Twoje wypowiedzi artystyczne?

Jest w Poznaniu coś wybitnie nieartystycznego. To jest strasznie filisterskie miasto. Nie na sposób krakowski, gdzie na tym kontraście się może pojawić cyganeria, Poznań jest filisterski do kości, tutaj nie ma warunków dla rozwoju tak zwanej bohemy. Mnie się wydaje, że to jest miasto, które składa się z galerii handlowych. Tutaj mamy jeden klub: Kisielice, gdzie spotykają się artyści. Było wcześniej więcej tych klubów, ale ich „artyzm” upadł. To jest też bardzo poznańskie, że Kisielice swoich atutów w ogóle nie starają się wykorzystać. Te atuty są bezdyskusyjne. W Warszawie Kisielice w ciągu 10 lat stałyby się kultowym klubem. Tutaj wszystko przechodzi bokiem. Ugrzęznąć tutaj to jest spory problem.

Wyprowadzasz się?

Nie, nie ma takiej potrzeby. ●

